№ 9. Warszawa, dnia 18 Lutego (2 Marca) 1878 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

PIUS IX.

ur. 13 maja 1792 † 6 lut. 1878.



Jeszcze nie skończyły się żałobne nabożeństwa za duszę zmarłego króla Wiktora-Emmanuela, gdy ponury dźwięk dzwonów całego Rzymu zwiastował mieszkańcom jego i całemu katolickiemu światu, skon najwyższego Pasterza, Ojca wszystkich wiernych.

Hrabia Jan - Marya Mastaï - Feretti przyszedł na świat w małem miasteczku Sinigalia d. 13 maja 1792 r. Rodzina Mastaï pochodzi z Kremony w Lombardii, należy do najstarożytniejszych i od kilku już wieków odznaczała się zawsze wielkiemi cnotami i rzadką pobożnością. Przez związek małżeński jednego z przodków zmarłego papieża z ostatnią potomką rodu Fereti'ch, połączono te nazwiska i od owej epoki naczelnik rodziny nosi zawsze tytuł hrabiego Mastaï-Feretti. Ojciec Piusa IX, hrabia Hieronim Mastaï-Feretti, był gonfalonierem czyli gubernatorem Sinigalii; pojął w małżeństwo Katarzynę Sollazi, z której miał kilkoro dzieci. Oboje starali się zaszczepić w sercach dzieci głębokie uczucia religii i moralności i zarazem dać im wysokie ukształcenie.

Młody Jan-Marya już w dziecinnych latach odznaczał się wielkiemi zdolnościami i nadzwyczajną bystrością umysłu a nadto obdarzony piękną powierzchownością i odznaczający się szczególniejszą słodyczą i dobrotliwością obejścia, z łatwością zjednywał sobie **serca wszystkich** otaczających go osób. Jak zazwyczaj wszyscy wielcy ludzie, Pius IX miał zacną, rozumną, szlachetną i bogobojną matkę, która od kolebki wpajała w niego niewzruszone przywiązanie do kościoła, obok chrześciańskiej miłości bliźniego i nieograniczonego miłosierdzia dla biednych i cierpiących.

W dziesiątym roku życia, Jan-Marya oddany został do kolegium w Voltera, w Toskanii. Wkrótce zbiegiem okoliczności został poddanym francuzkim, gdyż Voltera przeszła pod panowanie Francyi. Pewnego razu w r. 1810, pewien inspektor uniwersytetu cesarskiego przybył do Volter'a aby być obecnym na zakoń-

czeniu kursu nauk, zwróciła jego uwagę niezwykła fizyonomia młodego Mastaï, zadał mu kilka zapytań w różnych przedmiotach i ten na wszystkie doskonale odpowiedział. Wtedy inspektor zwrócił się do przełożonego kolegium pytając o niektóre szczegóły dotyczące tak odznaczającego się pod każdym względem ucznia, poczem rzekł jakby proroczym ożywiony duchem:

— Jeśli jakieś nieprzyjazne okoliczności nie przeszkodzą, młodzieniec ten wyjdzie bardzo wysoko.

Inspektor ten umarł dopiero w 1829 roku; wiedział że młody hrabia Mastaï-Feretti, który wyłącznie zwrócił jego uwagę, został już arcybiskupem Spoletańskim i mniemał zapewne, że jego przepowiednia świetnej dlań przyszłości już się w zupełności spełniła, bo nikt wtedy nie przewidywał, że młody ów, trzydziestokilkoletni arcybiskup w lat kilkanaście później zostanie zastępcą Św. Piotra, Ojcem wszystkich wiernych, jedną z największych dziejowych postaci.

Nad kolebką Piusa IX rozlegał się odgłos dalekich burz i gromów rewolucyi francuzkiej, skrzypu gilotyny i zaparcia się wiary w Boga a natomiast ubóstwienia bogini rozumu. Nareszcie rewolucya ta wtargnęła do Włoch: Pius VI, ośmdziesięcioletni starzec, porwany wśród nocy został jeńcem Dyrektoryatu. Stryj młodego hrabiego, Andrzej Mastaï, biskup z Pesaro, wtrącony został do więzienia za wierność swoją dla Głowy kościoła; drugi stryj, kanonik u Ś. Piotra podobnemu uległ losowi; Pius VII podobnie jak poprzednik jego uwięziony był w Fontainebleau — wszystko zdawało się zapowiadać upadek nie już doczesnej ale nawet duchownej władzy papiezkiej. Młody Jan-Marya codziennie modlił się z matką o powrót papieża, a ufny w miłosierdzie i sprawiedliwość Bożą, nie tracił wiary w ostateczny tryumf świętej sprawy. Zdaje się że Opatrzność chciała ukazać mu jakby proroczy zarys późniejszych jego losów i przygotować powoli do dźwigania ciężkiego krzyża, jaki w przyszłości miał spaść na jego barki.

Wielu biografów Piusa IX podaje, że hrabia Mastaï-Feretti z początku obrał sobie zawód wojskowy, ale Bóg wybrańca swego do wyższych, wznioślejszych powoływał przeznaczeń i jakby dla sprowadzenia go na właściwą drogę, zesłał mu ciężką chorobę (epilepsyę) nie dozwalającą wstąpić do wojska. Doktorzy oznajmili, że jest to cierpienie nie do wyleczenia i że prawdopodobnie pacyent umrze bardzo młodo. Gdy pomimo to cudem prawie został uleczony, nadspodziewane to wyleczenie tak głębokie na umyśle młodego Mastaï zrobiło wrażenie, iż postanowił nieodwołalnie wyrzec się świata i życie całe poświęcić Bogu.

W tym celu udał się do Rzymu (w 1816 r.) i tam oddał się nauce teologii, a po złożeniu najwyższych egzaminów został wyświęcony na kapłana.

Zostawszy księdzem, Mastaï-Feretti poświęcił życie cichym cnotom i miłosiernym uczynkom, a szczególniejszym przedmiotem jego pieczy i troskliwości stali się ubodzy rzemieślnicy. Długie w pośród nich spędzał godziny, badał ich potrzeby, pocieszał, zachęcał i znaczną część dochodów swoich poświęcał na ulżenie smutnej ich doli. Powszechnie znana dobroć, litość i miłosierdzie młodego kapłana, tkliwe współczucie z jakiem zajmował się losem biednych sierot, spowodowały że został wybrany na kierownika zakładu znanego w Rzymie pod nazwą domu Ojca Jana (*Tata Giovanni*). W skromnej kaplicy tego zakładu później Pius IX odprawił pierwszą mszę świętą.

Zakład ten i nazwa jego winny swój początek pewnemu poczciwemu mularzowi, zwanemu *Tata Giovanni*; założył on go dla sierot pozostałych po biednych robotnikach. Ksiądz Mastaï z pomocą ks. Muri rozszerzył ten zakład i wkrótkim czasie tak pomyślnie rozwinął, iż przeszło sto sierot znajdowało w nim schronienie. Dobry i miłosierny stał się dla nich prawdziwym ojcem i całe prawie dochody swoje oddawał na sprawienie im cieplejszej odzieży lub zrobienie jakiejś przyjemności — to też biedne sieroty otaczały swego dobroczyńcę nieograniczoną czcią i miłością.

W roku 1823, gdy Ojciec święty wysełał M-ra Muri do Chili, dla załatwienia i urządzenia tam spraw kościelnych, dodał mu za towarzysza księdza Mastaï. Podczas tego trzechletniego pobytu swego w Ameryce, młody kapłan zwiedził wszystkie znajdujące się tam misye katolickie; wszędzie spełniał gorliwie obowiązki kapłańskie, nauczał, miewał kazania, utwierdzał w wierze, pocieszał i wspomagał biednych. Ta podróż w tak odległe strony świata jest wyraźnem zrządzeniem Opatrzności, Bóg chciał aby ten co miał zostać Ojcem wszystkich wiernych, przez to zetknięcie się z różnemi ludami i narodowościami, nauczył się sam poznawać i badać potrzeby dusz wiernych, rozproszonych po najoddaleńszych krańcach wszechświata.

Pewnego razu, ksiądz Mastaï udawał się z Valparezo do Lima, na małym statku chilijskim. Podczas przeprawy zerwała się gwałtowna burza, wicher miotał słabym statkiem i byłby rozbił go o skały, gdyby na szczęście nie nadpłynęła łódka wioząca kilku murzynów. Kierujący nią, biedny rybak Bako, postrzegł niebezpieczeństwo grożące statkowi Chilijskiemu; podpłynął prędko, wszedł na pokład i dzięki swej biegłości i doskonałej znajomości miejscowych wybrzeży, zdołał szczęśliwie doprowadzić statek do małego portu Arika. Nazajutrz zaraz ksiądz Mastaï udał się do chatki swego wybawcy, i raz jeszcze dziękując za ocalenie, ofiarował zarazem woreczek w którym znajdowało się 400 piastrów. We dwadzieścia lat potem, zasiadłszy na stolicy Ś. Piotra, Pius IX przypomniał sobie biednego rybaka i posłał mu swój portret a przy nim znów 400 piastrów, ale Bako nie był już wówczas biedakiem mieszkającym w ubogiej lepiance, pieniądze dane przez świątobliwego kapłana przyniosły mu szczęście, dorobił się znacznego majątku, a wzruszony do głębi duszy tym dowodem dobroci i pamięci Ojca Świętego, w najpiękniejszem miejscu uroczej swej posiadłości roztaczającej się nad brzegiem morza, wzniósł śliczną kapliczkę i w niej umieścił przysłany portret.

Po powrocie do Rzymu, w 1825 r. ksiądz Mastaï został mianowany kanonikiem a obok tego dyrektorem Przytułku Ś. Michała. Jest to jeden z największych europejskich zakładów miłosiernych. Tu znów otwierało się dla świątobliwego kapłana szerokie pole działania: sieroty starcy, sędziwe niewiasty, chorzy i wypuszczeni z więzień, bez przytułku i schronienia, znaleźli w nim najlepszego ojca i opiekuna.

Przed upływem dwóch lat, Leon XII wynagradzając wysokie cnoty i zasługi M-ra Mastaï, już wówczas prałata, mianował go arcybiskupem Spoletańskim (1827 r.) Tu pięć lat zasiadał na stolicy arcybiskupiej, strzegąc niezmordowanie dobra swej archidyecezyi. Założył wielki dom schronienia dla sierot; nurtujące zaburzenia (1830) zażegnywał dobrocią i przezornością.

Papież Grzegorz XVI przeniósł arcybiskupa Mastaï ze Spoletto do Immola a w ośm lat później został mianowany kardynałem.

Wyniesiony na tak wysokie dostojeństwo, spełniał wielkie obowiązki swoje z pobożnością i gorliwością prostego kapłana. Założył dwa domy schronienia, jeden dla chłopców, drugi dla dziewcząt; szkółki w których Siostry Miłosierdzia uczyły darmo dzieci biednych rodziców; sprowadził z Francyi *Siostry dobrego Pasterza (Soeurs du bon Pasteur)* opiekujące się nieszczęśliwemi kobietami, które żałując swego upadku i poniżenia, pragną powrócić na dobrą drogę. Jego litość i miłość prawdziwie chrześciańska, rozciągały się zarówno do wszystkich stanów, to też od wszystkich zarówno był kochany i szanowany.

Pewnego wieczora w r. 1845, świątobliwy biskup Immoli modlił się w małej kapliczce katedralnego kościoła; prócz niego i małego posługującego chłopczyny, nikogo nie było w świątyni. Wtem nagle, od strony zakrystyi, przerażający krzyk zakłócił uroczystą ciszę; biskup przerywa pobożną modlitwę i udaje się do zakrystyi: jakże okropny widok przedstawił się jego oczom! Człowiek jakiś śmiertelnie blady i cały krwią zbroczony, leżał na środku zakrystyi bardzo ciężko raniony, ostatnim wysiłkiem zdołał wpaść do kościoła aby uniknąć zabójczych ciosów morderców, lecz w tejże chwili wbiegło za nim trzech ludzi z zakrwawionemi sztyletami, aby dobić swoją ofiarę. Nie zważając na niebezpieczeństwo jakiem mu zagrażała dzika postawa rozwścieczonych morderców, biskup spojrzał na nich surowo i wskazując na krzyż Zbawiciela, który patrzy na nich i sądzić kiedyś będzie, wyrzucał im popełnioną zbrodnię i rozkazał natychmiast dom Boży opuścić. Przerażeni zbójcy, nie rzekłszy słowa wyszli z zakrystyi.

Natychmiast po ich oddaleniu, biskup Mastaï posłał po doktora, sam zaś zbliżył się do rannego, ukląkł, uniósł głowę jego i własnemi podtrzymywał rękami. Lekarz nadbiegł niebawem a obejrzawszy ranę oznajmił że jest śmiertelną i że za najlżejszem poruszeniem biedny ranny ostatnie wyda tchnienie. Aby więc umierającemu nie przyśpieszać chwili skonu, bogobojny biskup nie zmienił nużącego położenia klęcząc i trzymając go wspartego na swojem ramieniu, wyspowiadał i dał ostatnią absolucyą. Możnaż wznioślej pojmować i spełniać obowiązki kapłana i miłość bliźniego.

Papież Grzegorz XVI przeniósł się do wieczności dnia 1 czerwca 1846 roku.

Kardynał Mastaï-Feretti udał się więc do Rzymu aby być obecnym na *conclave*, to jest zgromadzeniu kardynałów dla obrania nowego papieża.

Gdy wjechał do małego miasteczka Fossombrone, powóz z pocztowemi końmi zwrócił uwagę mieszkańców, którzy poznawszy w nim tak powszechnie szanowanego i kochanego kardynała, tłumnie otoczyli powóz, witając go i błogosławiąc. Gdy tak ze czcią przypatrywali się kardynałowi, który może w Rzymie zostanie papieżem, biały gołąbek szybujący w powietrzu spuścił się nagle i usiadł na powozie. Zobaczywszy to, tłum przyklasnął radośnie i jeden okrzyk wydarł się ze wszystkich piersi:

— Wiwat! wiwat! on będzie papieżem!

Straszono gołębia, mimo to nie odlatywał; spędzono go laseczką, uniósł się w powietrze ale niezwłocznie spuścił się znowu i usiadł na powozie. Wtedy radość i zapał ludu nie znały granic:

— Niech żyje przyszły papież! niech żyje nasz ojciec i dobroczyńca! krzyczeli uradowani.

Ten zapał ludu i znaczenie jakie przywiązywał do tego pojawienia się gołąbka, łatwo się tłomaczy tem, iż widział w tem niemylną przepowiednię, ponieważ w pierwszych wiekach chrześciaństwa wiele wyborów papiezkich a szczególniej biskupich, odbywały się *przez znak gołębia* i z tego to powodu wszyscy pierwsi biskupi Raweńscy, nazywani byli *biskupami gołębi*.

Dnia 16 czerwca wszyscy kardynałowie zebrali się w Kwirynału. Zaraz przy pierwszem głosowaniu kardynał Mastaï-Feretti pozyskał znacznie większą liczbę głosów niż kardynał Lambruschini, któ-

rego powszechnie uważano za następcę Grzegorza XVI-go a nazajutrz przy stanowczem głosowaniu miał 37 głosów a zatem dwa głosy więcej niż przepisy wymagają, ze względu na liczbę żyjących ówczas kardynałów.

Na kontrolującego głosy wybrano właśnie kardynała Mastaï-Feretti! ponieważ już na dwóch pierwszych posiedzeniach miał znaczną większość głosów, całą noc spędził na modlitwie i blady i drżący przybył na uroczyste posiedzenie otwarte wzniosłym hymnem *Veni Creator!*

Na pierwszej, drugiej, trzeciej i tak aż do siedemnastej z kolei kartki przeczytał swoje nazwisko: ręka mu drżała, pot wstępował na czoło, prosił aby go kto inny zastąpił, nie zezwolili na to kardynałowie z powodu że przerwanie badania unieważnia głosy. Kardynał Mastaï-Feretti przeczytał swoje nazwisko 37 razy.

W tejże chwili wszyscy kardynałowie powstali, jednozgodny odgłos odbił się o sklepienie kaplicy. Święte Kolegium okrzyknęło kardynała Mastaï Feretti papieżem. *Conclave* trwało tylko dwa dni; nowy papież przyjął imię Piusa IX-go.

Lud rzymski z nieopisaną radością powitał wstąpienie swego ulubieńca na stolicę Ś. Piotra, i można powiedzieć że cały pierwszy rok panowania Piusa IX był jednem nieprzerwanem pasmem radości i upojenia. Na odgłos jego imienia całe Włochy zawrzały życiem: cała Europa przyklasnęła wyborowi temu; świat cały witał w Piusie IX pewnego przewodnika, biegłego sternika w pośród gwałtownych burz i wstrząśnień, których zbliżenie przewidywały wszystkie głębsze umysły, przeczuwały wszystkie serca.

Pius IX wstąpił na Stolicę Apostolską w chwili niewypowiedzianej niepewności i przesilenia; Europa była niby spokojna, ale wśród tej pozornej ciszy dawało się dosłyszeć jakieś głuche wrzenie zapowiadające gwałtowne wstrząśnienia. W tym przeddniu przesilenia imię Piusa IX zajaśniało jak tęcza na zachmurzonem, burzą brzemiennem niebie; nadzieja wstąpiła w serca: Rzym poczuł że ma wspaniałomyślnego władzcę; Włochy przewidywały lepszą przyszłość. Europa wierzyła w szczęśliwe rozwiązanie przesilenia dzięki wszechwładnemu pośrednictwu religii; Kościół gotował się do nowych tryumfów.

Pierwsze zaraz kroki Piusa IX całe Włochy bezmierną przejęły radością, gdyż zdawały się zapewniać nareszcie urzeczywistnienie tak dawno żywionych nadziei. Wszyscy skazani za przestępstwa polityczne za Grzegorza XVI otrzymali zupełną bezwarunkową amnestyą i widziano jak Ojciec Święty z rozrzewnieniem ściskał więźniów uwolnionych z zamku Ś. Anioła! Dalej Pius IX rozwiązał najemniczą gwardyą szwajcarską i otoczył się własnymi poddanymi. Dnia 8 kwietnia, mianował Sekretarzem Stanu kardynała Gizci, lubionego powszechnie dla swych znanych liberalnych zasad i przekonań; odsunął niepopularnych doradzców Grzegorza XVI-go, zmienił kardynałów legatów: nałożył pewne podatki na duchowieństwo, chcąc aby podzielali ten ciężar z innymi poddanymi Państwa Kościelnego; zarządził reformę kodeksu rzymskiego, zmniejszył liczbę urzędników i zaprowadził znaczne oszczędności w wydatkach dworskich. Na początku roku 1847 przystąpiono do obwarowania prawa swobody prasy i utworzenia Zgromadzenia notablów pod nazwą *Konsulty Państwa* z prawem inicyatywy i głosem doradczym. Zebrała się w listopadzie t. r pod prezydencyą kardynała Antonellego, który także wówczas pragnął zaprowadzenia reformy politycznej, opierającej się na zaspokojeniu żądzy wolności w imię zasad chrześciańśtwa.

Te zbawienne reformy odbiły się nietylko w całych Włoszech ale i w innych krajach; monarchowie i książęta włoscy, idąc śladem Papieża, wstępowali na wytkniętą przez niego drogę postępu: to też Rzymianie otaczali wtedy papieża nieograniczoną wdzięcznością i przywiązaniem do tego stopnia, że nawet najskrajniejsi przywódzcy republikańscy (Montanelli, Balbo, Ricciardi, Mazzini) zatwierdzali i podzielali ogólne uwielbienie, wywołane szlachetnem i wzniosłem postępowaniem nowego Papieża.

Obok tych pożądanych ulepszeń i reform, Pius IX nie przestawał zajmować się troskliwie chorymi, kalekami, biednymi i sierotami; sam przebiegał ulice Rzymu aby im dać opiekę, pociechę i wsparcie. Ileż to razy, podczas tych prawdziwie ewangelicznych wycieczek, zatrzymywał się w pośród tłumnie otaczającego go ludu, słuchając ich próśb, zażaleń i pragnień!

Pius IX postanowił, jak było niegdyś za Karola Wielkiego, tak zwanych *Missi dominici* którzy obowiązani byli zwiedzać całe Państwo Kościelne i badać najtroskliwiej, w imieniu Papieża, krzywdy, żądania i potrzeby ludności. Prasa używała nieznanej dotąd tolerancyi i swobody. Przywrócone zostały publiczne audyencye. Radość i wdzięczność ludu nie znały granic; gdy Rzymianie spostrzegli tę piękną i wzniosłą postać, tę twarz tak szlachetną opromienioną anielskiej dobroci wyrazem, trudno byłoby oznaczyć kto był szczęśliwszy: czy lud z którego piersi wyrywały się rozgłośne okrzyki przywiązania, bezgranicznej ufności i uwielbienia, czy monarcha będący ich przedmiotem.

(d. n).

Kwestye i Sprawy.

VI.

Kilka uwag o życiu towarzyskiem.

(Dalszy ciąg).

Z kolei przechodzimy do egoizmu, jako przesady, która hamuje rozwój życia towarzyskiego w naszych czasach i przyczynia się do wygaśnięcia towarzyskości. Pod rubrykę egoizmu podciągamy także przesadną pychę, zarozumiałość, przewagę interesu w stosunkach towarzyskich, wreszcie zbyteczną drażliwość — gdyż to wszystko płynie z wybujałego sobkostwa. Nie piszemy satyry, ale jest rzeczą niewątpliwą, że w stosunkach społecznych i towarzyskich naszej epoki, coraz wybitniej przeważa nagi egoizm, czy to jest wypływ cywilizacyi XIX wieku, czy skutek zbyt jednostronnie głoszonych zasad ekonomicznych i altruistycznych, wyzwalających działalność ludzką od wszelkich wyższych popędów i udziału serca — rozbierać tej kwestyi na tem miejscu nie będziemy, gdyż zaprowadziłoby nas to zbyt daleko. Życzyć dobrze przede wszystkiem sobie i swoim — dbać głównie o interes własny i swojej rodziny, jest rzeczą istotnie naturalną i nienaganną; trudno też żądać od ludzi ofiar i poświęceń, jako obowiązku lub wymagać, ażeby innym życzyli *lepiej* niż sobie; wszelako można żądać, ażeby życzyli bliźnim *równie dobrze* jak sobie i żeby nie dążyli do własnego pożytku *bez względu* na pożytek bliźnich lub z wyraźną ich *szkodą* — a to właśnie staje się coraz to powszechniejszem prawidłem i to jest właśnie nasienie egoizmu, wzrastającego do przerażających rozmiarów. Jedyna represya zimnego egoizmu w tym kierunku — represya prawna, nigdy i nigdzie nie może tu działać skutecznie; sądy i prawo więcej czasami dbają o formę aniżeli o treść i istotę, a ludzie obrotni zawsze i wszędzie potrafią krzywdzić bliźniego, pozornie nie gwałcąc prawa, gdyż rozwój form życiowych, sprytu praktycznego, nakoniec rozwój sofistyki i wykrętów dostarczy nieraz środków szkodzenia interesom bliznich bez narażenia się na odpowiedzialność sądową. Moralność wyższa, oparta na miłości bliźniego, byłaby stokroć skuteczniejszym hamulcem nieprawości ludzkich niż obawa kary i uchybienia formom prawnym. Nie żądamy jeszcze od ludzi niedościgłego dotąd ideału moralności chrześciańskiej, która nakazuje „płacić dobrem za złe,“ ale zdaje się rzeczą widoczną, że obecnie, w epoce „walki o byt,“ gdy już ludzie nie wstydzą się głosić nagiego egoizmu, jako zasadę kierowniczą, oddalamy się coraz to bardziej od tego ideału chrześciańskiego, zamiast do niego się zbliżać.

Trzymając się jedynie sfery stosunków towarzyskich, niepodobna nie widzieć że tu i owdzie widać objawy pewnego zboczenia, płynące z wygórowanego egoizmu. Traktujemy często lekceważąco, a nawet dokuczliwie tych wszystkich, o których nie dbamy albo którzy o nasze względy dbać powinni: nie dbamy zaś o tych, którzy pod żadnym względem nie mogą nam przynieść *dotykalnej* korzyści, a wymagamy ażeby o nas dbali ci głównie, których interes materyalny, bezpośrednio lub pośrednio, jest w naszych ręku. Ztąd owa często spotykana pycha i zarozumiałość, do której dosyć mamy skłonności; tylko że dzisiaj obok dumnych z rodu i pochodzenia, daleko więcej jest pyszniących się poprostu ze znaczniejszego majątku lub większych dochodów i okoliczności z dochodami w najbliższym pozostających związku. W sferach średniej inteligencyi śmieszna ta zarozumiałość przybiera wielce komiczne barwy i to nietylko, jak sądzą, na prowincyi, w małych miasteczkach...

Pieniądz staje się zatem głównym powodem stosunków towarzyskich, pieniądz — miarą do oceny wartości człowieka. Czy to nie wpływ wekslarski, który, według zdania Wincentego Pola, jak to piszący słyszał z ust jego na dwa lata przed jego zgonem, ma zapanować niebawem na całym świecie? A jednak ludzie pyszniący się ilością rubli i pomiatający uboższymi, z kolei umieją nadskakiwać bogatszym od siebie, ba nawet i uboższym, jeżeli tego przypadkiem wymaga ich interes.

Za egoizmem idzie ściśle z nim połączona próżność. Nietylko bowiem lubimy pysznić się z tego, co chluby nie stanowi i przeceniamy się sami zbytecznie, ale także pragniemy i żądamy, ażeby ludzie nas przeceniali — mieli i uważali nas za coś więcej nad to, czem jesteśmy w istocie. Używamy więc do tego środków rozmaitych, wadliwych i nierozumnych — jak wadliwym i nierozumnym jest sam cel. Ztąd owa fałszywa zasada: „albo przyjmować gości świetnie i okazale, albo nie przyjmować wcale.“ Ztąd przesadzanie się w strojach nad stan i możność, ztąd tysiączne inne, nędzne bo śmieszne objawy, co wszystko doprowadza nieraz do ruiny ekonomicznej, do krzewienia się fałszywych pojęć, a ścieśniając lub zabijając życie towarzyskie, nie przynosi żadnych dodatnich rezultatów. Jakby to było dobrze, gdyby ten, kogo nie stać na wino, poprzestawał na piwie i ofiarował je także swym gościom! Jakby to było dobrze, gdyby ta, której nie stać na aksamity i jedwabie, poprzestawała na tańszych materyałach, troszcząc się niekiedy więcej o potrzebniejsze niż o modne ubrania, o wygodę, pożytek i oszczędność w ubiorach! Ale ta kwestya znowu zaprowadziłaby nas za daleko — po za sferę życia towarzyskiego, która na teraz jest naszem za-

daniem. Przypomnimy więc tylko jeszcze, wybierając parę przykładów z objawów próżności, ile to powstaje często kwasów, zgryzot i następstw wskutek tego, że pani X. była lepiej ubraną od pani Y; jak śmieszna niedorzeczność utrwaliła niedorzeczny, przeciwny naturze i zdrowiu szkodliwy zwyczaj zbierania się (nietylko na bal ale nawet na zwyczajną herbatę) około północy, gdyż przybycie wcześniejsze, a broń Boże przed innemi, ubliża wrzekomo godności naszej czyli raczej śmiesznej próżności; ile nakoniec zabaw i balów nie dochodzi do skutku z powodu braku pań, z których nie stawiła się żadna, gdyż każda obawiała się, ażeby nie przybyć pierwsza, i t. d. Z kolei przychodzimy do upodobań w różnych rodzajach zabaw. Wiemy dobrze, że pod tym względem śmieszną byłoby rzeczą podawać określone reguły lub kusić się o ułożenie chińskiego kodeksu, ale nie ulega wątpliwości, że obecnie dwa głównie rodzaje zabawy rozpostarły się wszechwładnie we wszelkich zebraniach towarzystkich, a ich wyłączność i przesada w obojgu nie wychodzi na pożytek społeczeństwu i tłumi właściwe życie towarzyskie. Każdy domyśli się z łatwością że te dwa rodzaje zabaw, to gra w *karty* i *tańce*.

Tak jedną jak drugą nie uważamy za rzecz tak zdrożną aby zasługiwały na bezwarunkowe potępienie, ale przesadzie trudno przyklasnąć. Wszystko co bawi byle szkody nie przynosiło, ma swoje zalety. Wszakże gra w szachy jest grą także i zabiciem niejako czasu, a dla czegóż ją nazywają szlachetną? Gra w karty zajmuje również kombinacyą, dla czegóż ma być niegodną tak pięknej nazwy, jeżeli nie zmienia się w hazard i nie wlecze się przez noce całe do rana?

Taniec miła to zabawa, ale jeżeli młodzież nic więcej nie umie i nie chce umieć, tylko zebrawszy się tańczyć i tańczyć bez końca, tobym go prawem zabronił jako szkodliwy zarówo dla duszy jak ciała.

Zabawy zatem obie wtedy są tylko szkodliwe gdy zbyt bujnie rozrastają się ze szkodą innych, które korzystniej wpływałyby na umysłowy rozwój i wykształcenie. Tu rozumiemy naprzód niektóre z gier towarzyskich, niesłusznie obecnie pogardzonych, te zwłaszcza, które wymagają pewnej bystrości umysłu, dowcipu, zdolności wierszowania, umiejętnego władania językiem, jasnego określania rzeczy i pojęć, wreszcie wiadomości z literatury, geografii, historyi i nauk przyrodniczych. Ludzie myślący mogliby nawet wytworzyć nowe rodzaje gier towarzyskich w tym kierunku, godne ludzi dorosłych, nietylko dzieci. Przedewszystkiem zaś, za główny *cel* zebrań towarzyskich, i za główny, najbardziej ludzki rodzaj zabawy, uważamy *rozmowę*. Tu dochodzimy do głównego założenia naszych artykułów i zarazem do ich zamknięcia. Na zasadzie własnych spostrzeżeń, czytelnik łatwo zgodzi się z nami w tym punkcie, że w obecnem naszem życiu towarzyskiem *rozmowa* zajmuje podrzędne stanowisko i że *sztuka prowodzenia rozmowy* upada. Nie myślimy żądać, aby rozmowa była zawsze i wszędzie poważną, naukową lub wyłącznie pouczającą; nie pragniemy ażeby w towarzystwach naszych zawsze lub nawet przeważnie bawiono się rozmową w podobnym rodzaju jak te, które prowadził Sokrates ze swymi współbiesiadnikami, ale skoro *konieczność wymiany myśli*, a więc konieczna potrzeba rozmawiania z ludźmi sprawia, że człowiek szuka człowieka, nie powinna więc być rozmowa tak upośledzoną, jak to bywa dzisiaj, w obec kart i tańców.

(*d. n.*)

CZERWONY DOKTÓR.

(z opowiadań lekarza)

PRZEZ

Aldę de Gravas.

(Dokończenie).

VIII.

Plebania proboszcza dotykała prawie domku doktora; zacny kapłan pod różnemi pozorami starał się do niego zbliżyć; ale równie jak inni, nigdy nie był dopuszczonym. Raz jeden wyłącznie, mógł widzieć się z samotnikiem i to jedynie dla tego, iż oznajmił że przybywa z polecenia pani du Hamel, aby mu dać trzy książki pozostałe po Ludwice. Pismo Święte, książkę do nabożeństwa i O naśladowaniu Chrystusa, Tomasza a Kempis.

Starzec poznał książki które były własnością jego córki, podziękował proboszczowi i pożegnał go wymawiając się cierpieniem nie dozwalającem mu prowadzić rozmowy. Po jego odejściu wziął książki i zaczął przerzucać je machinalnie. Na pierwszej kartce „O naśladowaniu Chrystusa“ zobaczył pismo Ludwiki, i przeczytał te słowa:

„Polecam czytanie tej książki, memu ukochanemu ojcu. Ludwika.“

Ucałował wyrazy skreślone ręką nieodżałowanej córki, na kilka dni przed śmiercią, jak wskazywała data, potem nie czytając położył na stole założonym już rozmaitemi drogiemi pamiątkami. Jeżli proboszcz obiecywał sobie, iż te książki i słowa napisane przez Ludwikę, zachwieją niewiarę nieszczęśliwego starca, zawiodły go oczekiwania, czy przez obojętność, czy skutkiem powziętego postanowienia, pan Riberac nie spełnił polecenia córki.

Proboszcz donosił niekiedy państwu du Hamel co mógł wiedzieć o dzikim swoim sąsiedzie, ubolewając nad zatwardziałością serca do którego Bóg tylekroć pukał daremnie. Pewnego dnia przechodząc około domku samotnika, spostrzegł gromadkę ludzi cisnących się do drzwi. Z pośrodku tłumu rozlegał się krzyk i łkanie; zbliżył się, zapytując co się stało.

Okropny wypadek miał miejsce; jakiś młodzian z okolicy spadł pod wóz, i koła przygniotły mu głowę. Krwią zbroczonego, wpół umarłego, przeniesiono do najbliższej fermy, i ojciec przybiegł błagać doktora aby dał pomoc rannemu, ale doktór odmówił stanowczo.

— Ależ to niepodobna, rzekł proboszcz, aby nie miał spełnić obowiązku który sama ludzkość nakazuje; zaczekajcie, ja pójdę go prosić.

I przedzierając się przez natłoczoną gromadę ludzi, wszedł do sionki i zadzwonił.

Jakób wyszedł zaraz.

— Pan mój nie może dziś przyjąć nikogo, odrzekł jak zwykle.

— Ależ ja nie przychodzę z wizytą; chcę prosić aby się ulitował nad tym nieszczęśliwym młodzieńcem... niepodobna aby mi odmówił, puść mnie tylko do niego.

— Nie mogę, pan zakazał mi najsurowiej. Prosiłem, przedstawiałem mu rozpacz nieszczęśliwego ojca, daremnie, nie pozwolił nikogo wpuszczać i kazał powiedzieć że nie pójdzie.

— Ależ to okropnie! nieludzko! zawołał kapłan. Nie chcieć pójść, kiedy może zdołałby ocalić tego biedaka, uratować ojcu syna.

— Dawniej nie zrobiłby tego, odrzekł Jakób. Nie było lepszego, litościwszego człowieka; pan mój był prawdziwą opatrznością biednych i cierpiących.. ale od chwili gdy utracił ostatnie dziecko, serce jego skamieniało. A potem sam jest chory. Słyszę codzień że całą noc prawie się nie kładzie; myślę że od czasu śmierci panny Ludwiki, ani razu nie przespał trzech godzin z rzędu. Cóż więc dziwnego że jest innym niż drudzy?... Pójdę zameldować panu księdza proboszcza, ale boję się żeby nie kazał odpowiedzieć że go przyjąć nie może.

Jakób poszedł a obecni czekali, spodziewając się że nieubłagany starzec nie będzie śmiał odmówić prośbie kapłana; łudzili się, Jakób powrócił z odmowną odpowiedzią.

— Krzyki i pogróżki nic nie pomogą, rzekł proboszcz do kilku młodych którzy chcieli wybić drzwi i gwałtem zaprowadzić doktora; niech jeden natychmiast uda się do sąsiedniego miasteczka po lekarza, choć trudno spodziewać się żeby przybył jeszcze na czas, inni niech się rozejdą w milczeniu. Ja śpieszę zaraz do chorego, udzielić mu pociechy religijnej.

Usłuchano głosu kapłana który szedł z nieszczęśliwym ojcem, gdy nadbiegły dwie kobiety.

— Gdzie jest doktór? zapytała starsza, której twarz zmieniona i gorące łzy zdradzały gwałtowną boleść.

— Nie chce iść, odrzekł smutnie ojciec.

— I nie mogłeś wziąść go gwałtem, skoro chodzi o życie twego syna?

— Mąż twój zrobił wszystko co było w jego mocy, rzekł kapłan, ja połączyłem moje usiłowania, ale pan Riberac jest nieubłagany.

— Oh! ja go uproszę, zawołała nieszczęśliwa kobieta; nie odmawia się prośbom i zaklęciom matki!

I pobiegła ku domkowi pana Riberac, wraz z towarzyszącą jej młodą dziewczyną, w równie gwałtownej pogrążonej boleści.

Daremnie jednak błagała ze łzami i zaklinała nieugiętego starca, drzwi jego pokoju pozostały zamknięte, i Jakób powiedział jej że najlepiej zrobi powracając do syna.

Pan Riberac, siedząc w oknie swoim zwyczajem, był niemym świadkiem wszystkich tych zajść, i siłą woli stłumił porywy serca które wołało aby jak dawniej poświęcił się raz jeszcze dla bliźnich. Usłyszawszy że Jakób zamykał drzwi, sądził że nareszcie został uwolniony od natrętnych próśb i nalegań które wbrew woli wdzierały mu się do serca, i podnosząc głowę wspartą na dłoni, wlepił oczy w grobowiec Ludwiki. Nagle drgnął cały; ujrzał klęczące na nim dwie kobiety, z błagalnie wyciągniętemi ku niemu rękami.

Zadzwonił. Jakób wszedł natychmiast. Wskazał mu ręką dwie klęczące kobiety i wzrokiem pytał co to za jedne.

— To matka tego potłuczonego młodzieńca; oznajmiła mi że się nie oddali i znajdzie sposób zmusić pana abyś poszedł do jej syna. Teraz, skoro wie żeś ją pan spostrzegł, nie odejdzie pewnie i do wieczora.

Doktór zmarszczył brwi i szybkim ruchem otworzył okno; chciał przemówić ostro ale słowa zamarły mu na ustach, oczy nieruchomie patrzyły przed siebie. Szczególnym przypadkiem dziewczyna wsparta o grobowiec Ludwiki, zdaleka bardzo ją przypominała. Była tegoż samego wzrostu i figury, a jej twarz blada i znękana, łzami zalane oczy które w tej chwili błagalnie zwróciła na doktora, były prawie tak wymowne jak słodkie spojrzenie zgasłej jego córki.

Skutkiem pobudzenia chorej i rozdrażnionej wyobraźni doktora, zdawało mu się przez chwilę że córka jego wstała z grobu i wyrzuca mu jego niemiłosierdzie i samolubstwo.

Złudzenie to trwało tylko chwilę, ale szczęśliwe

natchnienie zbudzone w sercu matki nie było bezowocnem; wywarło nader silne wrażenie.

— Chodźcie, rzekł, idę z wami!

Ferma w której złożono pokaleczonego młodzieńca nie była odległą; doktór mógł przyjść tam wsparty na ramieniu Jakóba. Kapłan modlił się przy łóżku: chory leżał bezprzytomny. Doktór prędko przysunął się do niego, odwiązał zakrwawione chusty i starannie obejrzał pokaleczoną głowę.

— I cóż? zapytał kapłan.

— Rana jest głęboka, ale mam nadzieję go ocalić.

I odsuwając cisnących się koło łóżka, ręką wprawnego lekarza opatrzył i zabandażował ranę, poczem przepisawszy jak się mają zachować, opuścił fermę unosząc błogosławieństwa zgromadzonych, które jak dobroczynna rosa spadły na jego serce, dawno już zamarłe dla tych słodkich uczuć, które dawniej podtrzymywały go w jego ciężkich kłopotach, pracach i zmartwieniach.

Nazajutrz rano Jakób zadziwił się niezmiernie wszedłszy do pokoju pana. W nocy nie słyszał on chodzącego, a teraz zastał go zupełnie ubranego, siedział przy stole założonym pozostałemi po Ludwice pamiątkami. Zamyślony przerzucał z roztargnieniem kartki małej książeczki o „Naśladowaniu“ Jakób uderzany był zmianą wyrazu twarzy swego pana.

— Zdaje mi się że dziś masz się pan daleko lepiej niż zwykle? zapytał.

— Spałem, odpowiedział starzec.

I rzeczywiście po raz pierwszy od śmierci Ludwiki, całą noc spędził w łóżku. Sen pokrzepił jego siły, przyniósł ulgę w cierpieniach; uczuł dziwne i nagłe polepszenie.

Jakkolwiek nie dbał o życie i pragnął śmierci, nie mógł nie odczuć zbawiennych skutków pokrzepienia sił, po tylu miesiącach ciężkich cierpień. Przez parę dni odwiedzał i opatrywał rannego, poczem wracał zwolna wsparty na ramieniu Jakóba, dziwiąc się jak mu dobrze i miło świeżem oddychać powietrzem. Raz wracając spotkał proboszcza, oznajmił mu że chory już zupełnie wyszedł z niebezpieczeństwa i że powiedział rodzicom, iż już mogą być zupełnie spokojni.

Usiedli na ławce; proboszcz rzekł po chwili.

— Nie uwierzysz pan jak biedni ludziska serdecznie ci są wdzięczni; nie wiedząc jak odpłacić dobrodziejstwo jakie im wyświadczyłeś, przyszli do mnie wczoraj z prośbą.

— Z jaką? zapytał.

— Prosili abym jutro odprawił nabożeństwo na tę intencyą, aby Bóg tak pocieszył ciebie, jak ty ich pocieszyłeś, ocalając im syna. Wielu wieśniaków mają być obecni, bo Bóg powiedział: że wysłuchuje modłów które wiele osób wspólnie do niego zanosi.

Kapłan trafił na szczęśliwe w tej chwili usposobienie; pan Riberac żywo był wzruszony i zaczął z nim rozmawiać o córce; proboszcz słuchał go z współczuciem i wykazał z przekonywającą wymową że w cierpieniach i smutkach beznadziejnych, rozum ludzki, własnym pozostawiony siłom, jest zupełnie bezsilnym, i tylko religia, wiara i pożyteczna praca, mogą stać się nieomylną rękojmią pociechy.

Lepiej niż ktokolwiek inny, pan Riberac mógł ocenić słuszność dowodzeń kapłana, gdyż doświaczył na sobie że wszelkie filozoficzne wywody, żadnej nie zdołały przynieść ulgi jego zbolałemu sercu. Sam tylko Bóg mógł zapełnić życie ogołocone z wszelkiego ziemskiego szczęścia i uczuć; mimowolnie zwrócił myśl ku wskazywanym mu wiekuistym nadziejom, mającym się urzeczywistnić po życiu tak pełnem zawodów, nieszczęść i goryczy.

Ulegając naleganiom kapłana, przyrzekł iż odtąd nie będzie odtrącał biednych chorych przychodzących wzywać jego pomocy, i to spełnianie miłosiernych uczynków stało się dla niego zbawienną rozrywką. Nadto pomnąc na zalecenie Ludwiki, zaczął czytać nieśmiertelne dzieło Tomasza a Kempis.

Noce spędzał teraz spokojnie. Nazajutrz po rozmowie z kapłanem siedział zamyślony; zadzwoniono na mszę, zawołał Jakóba.

— Podaj mi kapelusz i zaprowadź mnie.... kiedy inni mają modlić się za mnie, pójdę i ja do kościoła.

Jakób własnym nie dowierzał uszom; nie wiedział czy to na jawie czy śni mu się tylko; a gdy doszli do kościoła i pan jego wchodząc odkrył swą siwą głowę, złożył ręce i wyszeptał:

— Mój Boże! gdyby panna Ludwika żyła, jakże byłaby szczęśliwa!...

IX.

Dwa razy już pierwiosnki umaiły darninę pokrywającą mogiłę Ludwiki Riberac na cmentarzu W***. Dotąd sama jedna odznaczała się ona wśród skromnych mogił wieśniaczych.

Pewnego poranku trzy osoby otaczało grobowiec: starzec, młody mężczyzna i młoda kobieta.

Pomodliwszy się zwolna opuścili cmentarz, zwracając kroki ku domkowi doktora Riberac, stojącego jak wiadomo, w pobliżu cmentarza. Zanim do niego doszli, przyłączyła się do nich młoda i hoża wieśniaczka z dzieckiem na ręku; obaj mężczyźni ucałowali dziecinę, a młoda kobieta, zapewnie matka, wzięła ją na ręce.

Zatrzymali się przed kratą ogrodową; starzec zadzwonił; zanim otworzono zaczęli przyglądać się domowi i otoczeniu.

Domek nie był już tak ponury i opustoszony jak w pierwszych początkach przybycia doktora.

Świeżo pomalowane okienice, odbijały od pobielonej fasady, po której pięły się różne pnącze; przez otwarte okna widać było schludne, prawie wesołe pokoiki.

— Ładny domek, rzekła młoda kobieta, ale piękniejsze są jeszcze te kwatery i klomby najrozmaitszych kwiatów.

— Riberac bardzo je lubi, pielęgnowanie kwiatów stanowi teraz najmilszą dla niego rozrywkę.

— Ach! dla tego to tak piękne kwiaty zaścielają grobowiec Ludwiki.

— Tak pierwszy raz przesyłając fiance i nasiona, napisałem mu: Hoduj je i pielęgnuj, a gdy zakwitną w pełni blasku i woni, przyozdobisz niemi grobowiec Ludwiki. To go zachęciło...

W tej chwili Jakób otworzył drzwi i okrzykiem radości przywitał starca.

— Ach! pan du Hamel, dopieroż się pan ucieszy!

— A czy jest pan w domu, Jakóbie?

— Jest panie, i zajęty jak teraz zawsze. Jest w ogrodzie otoczony chorymi. Bądź pan łaskaw pójść za mną z panną Adelą... ach! przepraszam z panią, bo pan jest zapewnie mężem pani.

— Tak, Jakóbie, a to moja córka, moja mała Ludwisia.

— Ach! ma imię naszej dobrej, nieodżałowanej panienki.

— Tak, ojciec mój trzymał ją do chrztu i dał jej to drogie nam wszystkim imię.

— Jakże to miło będzie memu panu; proszę państwa, zaprowadzę was do niego.

Pan du Hamel powiódł okiem po klombach pięknych kwiatów i rzekł zwracając się do dzieci

— Cóż to za różnica od owego czasu kiedy pierwszy raz tu byłem! Zamiast tych pięknych kwiatów, chwasty i trawa rosły wszędzie, a i wnętrze domu było posępne i ponure.

— Jak biedne serce zrozpaczonego ojca, odrzekła Adela. Ale otóż i pan Riberac.

Zawrócili właśnie w uliczkę, w końcu której stała altanka z kaprifolium, wystawiona na ciepłe promienie południowego słońca. Doktór stał pochylony nad młodą dziewczyną siedzącą na ławce, z głową przechyloną na poręcz; tuż obok stała gromadka dzieci, kobiet i mężczyzn; byli to wszystko chorzy, przychodzący szukać rady i pomocy lekarza.

Widok ten przypomniał panu du Hamel pierwsze jego odwiedziny u starego przyjaciela, podczas swej podróży w Normandyi. Był to zarazem dowód szczęśliwej zmiany jaka zaszła w usposobieniu doktora, i oddziałała tak zbawiennie zarówno na moralne jak i fizyczne zdrowie doktora. Był to znów starzec silny jeszcze i krzepki, jaki przedstawił nam się na początku tej powieści; postawa jego się wyprostowała, oczy nie zdradzały ponurej rozpaczy i wewnętrznej, trawiącej go gorączki. Twarz jest zawsze bardzo poważna, ale zarazem pogodna i spokojna.

Gdy pacyenci jego rozstąpili się aby przepuścić nadchodzących, doktór odwrócił głowę i spostrzegł swoich gości; podszedł ku nim z radością; uścisnął ręce obu panów, pocałował w czoło Adelę, i rzekł zwracając się do Jakóba:

— Oto klucze od apteki i recepty, wydaj każdemu przepisane dla niego lekarstwo; na receptach są nazwiska, a zwracając się do swoich chorych, dodał: Bądźcie zdrowi, moi przyjaciele.

Było to pożegnanie; biedacy rozeszli się wypowiadając podziękowanie i błogosławieństwo.

— Może pierwszy raz widzisz porady lekarskie, dawane pod gołem niebem, rzekł doktór z uśmiechem do pana du Hamel; nie zawsze to tak bywa, ale że wiedzą iż większą część czasu spędzam w ogrodzie, więc jak pogoda tu do mnie przychodzą. Ale siadajcież, proszę was; albo może wolicie zaraz przejść do pokoju.

— Tu tak ładnie i miło, pozostańmy jeszcze chwilkę rzekła Adela a zwracając się do pana du Hamel, dodała: Ojcze, przedstawże Karola panu Riberac.

— Tak, niby on już sam się nie domyślił! Ale kiedy Adela chce koniecznie, więc, kochany przyjacielu, przedstawiam ci pana Karola Lomeril, mego zięcia.

Doktór podał rękę mężowi Adeli, mówiąc:

— Rad jestem bardzo że pana poznaję, tym więcej iż wiem jak Adela jest z tobą szczęśliwa.

— Nie koniec przedstawieniom, zawołał wesoło pan du Hamel, teraz kolej na pannę Lomeril. Rozalio, chodźże tutaj!

— Ja sama chcę ją przedstawić zawołała Adela, podbiegając ku młodej piastunce; wzięła dziecię na ręce i podała je doktorowi.

— Córka moja, Ludwika, rzekła, z przyciskiem wymawiając imię.

Łzy zabłysły w oczach ojca Ludwiki Riberac; wziął dziecię na ręce, pocałował pulchną twarzyczkę, uściśnieniem dłoni podziękował Adeli, a zwracając się do pana du Hamel, rzekł smutnie.

— Jesteś szczęśliwym ojcem...

— Ale nie powiedzieliśmy jeszcze najważniejszej rzeczy, przerwał pan du Hamel, nie chcąc aby przyjaciel jego miał czas zatapiać się w swoich smutnych wspomnieniach. Otóż interes z dożywotnicą skończony, Karol i Adela zostaną twymi sąsiadami.

— Czy to być może, zawołał starzec, nie spodziewałem się już tak wielkiej doznać radości.

— Tak; mój przyjacielu. Interesem było Karola jak najprędzej objąć w posiadanie tę posiadłość

jak ci wiadomo, zapisaną mu przez stryja. Ale wdowa pozostała miała na niej dożywocie, więc trzeba było z nią się układać. Z początku robiła wielkie trudności, ale nareszcie ustąpiła praw swoich za umówioną sumę, wypłaconą gotówką.

— Już teraz nie będziesz pan tak osamotniony, rzekła Adela, pole nasze dotyka twego ogródka, każesz wybić furtkę w otaczającym go parkanie, a wtedy komunikacya będzie bliska i łatwa.

— Nie myślisz o tem, droga Adelo, że komunikacya ta mogłaby stać się dla was bardzo nieprzyjemną, gdy ja dom ten opuszczę.

— Nie kłopocz się pan tem; rzekł Karol, teraz pan jesteś naszym sąsiadem, po co daremnie turbować się przyszłością.

— Patrzaj, Adelo, rzekł pan du Hamel, Ludwisia zasnęła na kolanach doktora.

Wszyscy zwrócili oczy na dziecinę śpiącą jak najspokojniej.

— Zostaw mi ją, rzekł pan Riberac do Adeli, już tak dawno nie miałem dziecka na ręku; przypomina mi to najszczęśliwsze w życiu mojem chwile. Zdaje mi się że patrzę na moją Ludwikę, gdy jeszcze była dzieciną.... Bóg mi ją odebrał.... ale ten mój anioł wymodlił mi tam w niebie poddanie się woli Bożej... dziś już nie szemrzę, nie złorzeczę Jego wyrokom, staram się ile mogę najwięcej czynić dobrego i w tem znajduję pociechę... Dziecina ta ma imię mojej córki; będę ją kochać, pieścić, patrzeć jak będzie rosła i stanie się dla mnie ostatnim promieniem słońca w mojem tak ciężkiem i boleśnie doświadczanem życiu.... Przed chwilą obawiałem się abyście kiedyś nie mieli nieprzyjemności gdyby ktoś obcy zamieszkał w tym domku; łatwo temu zapobiedz, nie mam blizkich krewnych; daruję go Ludwisi. Gdy umrę...

— Nie mówże o śmierci, zawołał pan du Hamel; jesteś teraz zdrów i rzeźwy, da Bóg pożyjesz jeszcze ze dwadzieścia lat.

— Mam nadzieję że przepowiednia twoja się nie ziści, odrzekł pan Riberac, uśmiechając się smutnie. Zapominasz że nieodżałowana moja Ludwika i wszyscy moi ukochani czekają tam na mnie... Zresztą nie boję się śmierci, kto stracił wszystko co kochał i cenił, kogo nic już nie wiąże do ziemi, nie lęka się opuścić ten świat i chętnie do niebieskiej powraca ojczyzny...

—×—

Korespondencya z Rzymu.

(Dalszy ciąg).

Wiktor-Emmanuel zrozumiał doskonale iż chcąc pracować skutecznie nad odrodzeniem i wyswobodzeniem Włoch, musi przywrócić urok jakim od lat tylu otoczony był dom sabaudzki, sparaliżować dążności rewolucyjnie i odtworzyć na nowo zniweczony organizm państwowy piemoncki. Dokazał tego rozszerzeniem swobód konstytucyjnych i powołaniem do steru państwa najgenialszych patryotów; z tych dość wymienić Cavour'a. Zaledwie kilka lat upłynęło, małe królestwo sardyńskie zostało wzorowo uorganizowane na zasadach konstytucyjnych, a szczupła ale dzielna i doskonale wyćwiczona armia piemoncka, okryła się sławą na polach bitwy w Krymie.

Urządzając wewnętrzne sprawy kraju, Wiktor-Emmanuel nie zaniedbał i polityki wewnętrznej; dyplomacya jego pozyskała uznanie i powagę w radzie mocarstw europejskich; coraz więcej zbliżał się do Francyi, a przyjęciem czynnego udziału w wojnie Wschodniej zapewnił Sardynii głos w radzie wielkich mocarstw.

Poznawszy niezłomny charakter, energią, niezachwianą prawość Wiktora Emanuela i ten nieprzeparty wstręt do kłamstwa, skrytości i fałszu jakim się zawsze odznaczał, całe Włochy zwróciły się ku niemu, ześrodkowały w nim wszystkie swoje nadzieje i nadały chlubną nazwę *il re galantuomo* (król poczciwy człowiek). Wszystkie ludy półwyspu pojęły, iż tylko wyrzekając się wszelkich zazdrości prowincyonalnych, autonomii i nazw oddzielnych, i łącząc się w jeden wielki naród włoski pod błogiem berłem Wiktora-Emmanuela, mogą odzyskać i utrzymać wolność i niepodległość; nie odepchnął ich w samolubnej obawie o koronę podobnie poziome względy nie mogły powstrzymać króla bohatera, który przedstawiającym mu aby się nie narażał na nierówną walkę z Austryą, odpowiedział:

— A! jeśli stracę koronę, toć przecie zawsze znajdę sobie gdzieś miejsce półkownika.

Z całych Włoch jeden tylko Piemont cieszył się rzeczywistą niepodległością i konstytucyą. Król neapolitański, książęta Toskanii, Modeny i Parmy, połączeni z Austryą węzłami rodzinnemi lub tajemnemi traktatami, nie dopuszczali żadnego rozwoju na drodze postępu i wolności, przez co żadnej w ludach swych nie budzili ufności. Popierany moralnie przez całe Włochy, zachęcony współczuciem całej prawie Europy, Piemont zwrócił całe swe usiłowania ku odbudowaniu niezależności włoskiej, a jednocześnie cesarz austryacki i król neapolitański zamierzali zerwać wszelkie dyplomatyczne z dworem sardyńskim stosunki.

Głuche wzburzenie wrzało w całym narodzie i co chwila trzeba się było obawiać groźnego przesilenia. Od Alp do Adryatyku rozlegał się tajemniczy okrzyk *Verdi!* złożony z pierwszych liter imienia i tytułu, jaki już wówczas Włochy wybrańcowi swemu przyznały, *Victor-Emmanuel Re D'Italia.*

Nauczony smutnem doświadczeniem, wiedział Wiktor-Emmanuel że owe słowa wyrzeczone z taką wiarą w własne siły *Italia fara da se* były tylko niebezpiecznem złudzeniem, i dla tego starał się wszelkiemi siłami zapewnić sobie przyjaźń i poparcie którego z wielkich mocarstw. Wówczas, od niejakiego czasu, Anglia zaczęła się przechylać ku Austryi, tak więc Włochy na Francyą tylko liczyć mogły. W tym celu Wiktor-Emmanuel wydał córkę swoją, Klotyldę za księcia Napoleona; od tej chwili zaczęło się zbliżenie między Francyą a Włochami, w którego następstwie zawarty został traktat zaczepno-odporny.

Gdy Austrya zaczęła koncentrować w Lombardyi coraz większe siły zbrojne, rząd sardyński powołał wszystkich urlopowanych i zaczął się uzbrajać; było to hasłem dla Włoch całych. Jednak dopókąd Europa mogła jeszcze łudzić się nadzieją pokoju, rząd króla Wiktora zdołał utrzymać się w granicach umiarkowania i cierpliwości, a trudne to było zadanie, gdyż rząd austracki a szczególniej prasa urzędowa nie szczędziła Sardynii obelg i upokorzeń. *Gazeta Wiedeńska* nazywała politykę Wiktora-Emmanuela „obmierzłą" a postępowanie pierwszego jego ministra „bezczelną swawolą." Całe Włochy popierały dążenia swego ulubieńca, czakano tylko aby dał hasło do boju; Piemont był uzbrojony, wojsko francuzkie potrzebowało tylko przejść granice, brakło jedynie pozoru do rozpoczęcia walki; dostarczyła go Austrya. Dnia 23 kwietnia 1859 r. baron Kellersberg, adjutant generała Giulay, wręczył hrabiemu Cavour ultimatum, w którem hr. Buol minister cesarza austryackiego, żądał: „aby król Sardyński niezwłocznie przywrócił wojsko do stopy pokojowej, zostawiając trzy dni czasu do namysłu i grożąc: iż jeżeli po trzech dniach nie otrzyma zadawalającej odpowiedzi, zmuszony będzie rozpocząć wojnę a odpowiedzialność za nią składa na rząd i politykę króla Sardyńskiego."

Cavour dał odpowiedź odmowną; wojna była nieuchronną. Na wniosek Cavour'a Senat i Izba poselska zawiesiły chwilowo swobody polityczne jednozgodnie nadając królowi nieograniczoną, dyktatorską władzę, a *Komitet Stowarzyszenia narodowego włoskiego* oznajmił że zadanie jego skończone, i odtąd losy Włoch całych składa w ręce króla *poczciwego człowieka.*

Dnia 29 kwietnia 1859 r. Wiktor-Emmanuel wydał do ludu swego i do całych Włoch proklamacyą, w której oznajmił że postanowił stanąć na czele wojsk swoich oraz że cesarz Napoleon zapewnił mu pomoc Francyi. Zakończył ją temi słowami:

„Ludu włoski! Austrya atakuje Piemont, śmie żądać abyśmy zmniejszyli i rozbroili wojsko i zdali na jej łaskę tę młodzież pełną poświęcenia, która z całych obszarów ziem włoskich zbiegła się pod nasze sztandary, bronić sprawy wolności i niepodległości. Ludu włoski! Austrya nachodzi nas zbrojnie, za to że broniłem sprawy wspólnej ojczyzny w radzie Europy, że nie byłem obojętny na wasze krzyki boleści: łamie traktaty których nie szanowała nigdy, tem samem zwalnia mnie od wszelkiej odpowiedzialności i dozwala mi spełnić ślub uczyniony na grobie mego ukochanego ojca. Chwytając oręż w obronie mego tronu, swobód mojego ludu i niepodległości włoskiej, walczę w świętej sprawie narodowości. Miejmy więc ufność w Bogu i w jedności naszej, w męztwie naszych żołnierzy, w słuszności naszej sprawy i w moralnem poparciu całej prawie Europy; co do mnie pragnę tylko zostać pierwszym żołnierzem niepodległości włoskiej!"

I spełniło się to pragnienie, król żołnierz odznaczył się bohaterską odwagą i zwycięzył. Austrya która szumnie oznajmiła całej Europie: że choćby jej przyszło stracić ostatniego żołnierza, nie ustąpi ani piędzi ziemi w Lombardyi, sama wywołała wojnę która od Montebello do Solferino, stała się dla niej jednem pasmem klęsk i poniżenia.

Dnia 30 maja, miała miejsce bitwa pod Palestro, w której Wiktor-Emmanuel dowodził osobiście. W bitwie tej brało udział samo wojsko sardyńskie, z wyjątkiem 3-go pułku żuawów który Napoleon oddał pod rozkazy Wiktora-Emmanuela. Po zaciętej walce z trzykroć przemagającą siłą, Austryacy cofnęli się pobici. Podczas walki żuawi kilkakrotnie na ręku prawie unosili króla z największego ognia, upominając iż pamięta tylko że chce być pierwszym żołnierzem niepodległości włoskiej, a zapomina że jest także wodzem armii sardyńskiej i monarchą w którym Włochy całe swe złożyły nadzieje. Po bitwie dzielni ci wojacy posłali nominacyą na kaprala, podpisaną przez cały pułk; Wiktor-Emmanuel z żywem rozrzewnieniem przyjął ofiarowaną sobie godność, i może dumniejszym był z niej w duszy, niż z licznych koron jakie zjednoczone Włochy u nóg jego złożyły.

Po słynnej bitwie pod Solferino, pierwszej tak wielkiej w tem stuleciu, pobici do szczętu Austryacy cofnęli się po za Mincio, a wieczorem dnia tego, cesarz Napoleon przeniósł główną kwaterę swoją do tegoż samego pokoju który rano zajmował Franciszek-Józef. Dnia 3 lipca wojska francuzkie zajęły słynny czworobok fortec a Piemontczycy zaczęli otaczać Peschierę oczekując niecierpliwie nowych bitew i nowych wawrzynów, gdy nieprzewidzianie nazajutrz wśród ogólnego zdumienia zawarty został pokój w Villafranca.

Dowiedziawszy się o tem od cesarza Napoleona,

pierwszy żołnierz niepodległości włoskiej zawołał z oburzeniem:

— Nie chcę pokoju, pójdę sam i powołam z sobą całe Włochy!

Zaledwie Napoleon zdołał go przekonać, wykazując powody zmuszające go do tej cierpliwości i ofiary.

Łatwo pojąć boleść i rozpacz jaką wieść ta zbudziła w sercach Włochów; opierając się na tylu świetnych zwycięztwach i słowach cesarza Napoleona „Włochy wolne będą od Alp do Adryatyku“ cieszyli się nadzieją że wkrótce cała wielka rodzina włoska poda sobie bratnie dłonie, a tu jeden pociąg pióra zniweczył te świetne widoki... Jednak ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, Włosi pojęli że pokój w Villafranca wielkie im zapewniał korzyści zastrzeżeniem nieinterwencyi, gdyż przez to stali się panami swej przyszłości i mogli postępować swobodnie drogą postępu i wolności. Korzystając z tej swobody odwołano się do głosowania powszechnego i miliony głosów oświadczyły się za połączeniem i jednością Włoch całych, pod berłem Wiktora-Emmanuela, ulubieńca narodu, *króla poczciwego człowieka*.

Niepodobna opisać tej fanatycznej, gorącej, włoskiej prawdziwie miłości całego narodu dla swego wybrańca; było to więcej jak przywiązanie dzieci do ojca, uwielbienie sięgające oniemal apoteozy. Gdyby chcieć podać anegdoty i legendy krążące o nim, całe tomy zapisaćby trzeba. Kiedy Wiktor-Emmanuel przybył do Florencyi w r. 1860, w Casine wieśniak jakiś chciał gwałtem docisnąć się do niego; adyutanci nie chcieli go dopuścić, ale król sądząc że zapewnie ma jakąś prośbę do niego, kazał go przywołać:

— Czego chcesz ode mnie przyjacielu? zapytał.

— Najjaśniejszy Panie! rzekł wieśniak, pozwól mi się ciebie dotknąć.

— Dobrze, mój przyjacielu, odrzekł król, i podał mu rękę.

Wieśniak szorstką ręką ujął dłoń monarszą, ścisnął ją mocno i długo i odszedł uszczęśliwiony; uczynił sobie ślub żeby koniecznie przed śmiercią dotknąć się ukochanego króla.

Czy po bitwie pod Nawarą Wiktor mógł obiecywać sobie że za lat kilka przeniesie stolicę do Florencyi a nareszcie do Rzymu i zakończy dni swoje w starożytnym pałacu w którym obierano papieży? Czy przewidywał tak daleką przyszłość? Trudno na to odpowiedzieć. Po śmierci króla kilka dzienników włoskich podaje fakt za którego autentyczność poręczają, a które może tłomaczyłby *po części* niechęć króla do mieszkania w Rzymie a szczególniej w Kwirynalu! Jeszcze w r. 1847 za życia Tomasza, księcia Genueńskiego, (zmar. 1855) obaj młodzi synowie Karola-Alberta, będąc na polowaniu mieli spotkać w lesie starą cygankę, która nie wiedząc kto oni są, na żądanie książąt zaczęła wróżyć im z ręki. Wziąwszy rękę księcia Tomasza, wpatrywała się chwilę w dłoń jego i rzekła:

— Ty, paniczu, umrzesz młodo i do śmierci pozostaniesz na swojem stanowisku, więcej nic nie mam ci do powiedzenia.

Potem zbliżyła się do Wiktora-Emmanuela i potrzymawszy dłoń jego zawołała zmienionym głosem:

— Ty, piastować będziesz królewskie berło, a władza twoja rozciągać się będzie od Alp aż do morza... będziesz królował na siedmiu pagórkach, ale tam umrzesz w mieszkaniu Papieży. W roku twej śmierci okropna wojna mord i pożogę rozszerzy po świecie, jedne państwa upadną, inne powstaną na ich gruzach... Straszny to będzie rok!

Gdy brat jego książę genueński umarł tak młodo i prawie nagle, a Wiktor-Emmanuel zasiadł na tronie Włoch zjednoczonych, nie zapominał o wróżbie cyganki która ziściła się w dwóch częściach, i miał zawsze wstręt do mieszkania w Kwirynalu. Przez parę lat zamieszkiwał w willi księcia Buoncampagni, nareszcie kazał sobie zbudować willę w ogrodzie Kwirynalskim, w tej nigdy żaden papież nie mieszkał, więc przepowiednia nie spełni się co do tego.

Gdy jednak przybył do Rzymu w przeddzień nowego roku a urzędowe przyjęcia nie mogłyby odbyć się w pawilonie, zmuszony był zamieszkać na parę dni w parterowym apartamencie Kwirynalu. Gdy noc nadeszła, król czuł się jakoś nie zupełnie dobrze, był smutny i zamyślony i całą noc przesiedział w fotelu przy oknie otwartem. Noc była śliczna ale chłodna; król nad ranem był znacznie gorzej, uczuł silne, dreszcze, a w ciągu dnia rozwinęła się gorączka i zmuszony był się położyć. Choroba postępowała gwałtownie; na nieszczęście zanim doktorzy przybyli z Turynu, gdzie pozostali przy łożu chorej niebezpiecznie morgantycznej małżonki króla, hrabiny Mirafiiore, zawezwano słynnego rzymskiego doktora Gwidona Baccelli'ego, i ten dwukrotnem puszczeniem zbyt wielkiej ilości krwi: chorobę ciężką zamienił w śmiertelną. Król miał się coraz gorzej a we wtorek zażądał spowiednika. Ojciec Święty tegoż dnia z własnego popędu posłał królowi biskupa porfiryjskiego *in partibus Infidellum* ks. Marinolli'ego, proboszcza pałaców apostolskich. Papież miał mu powiedzieć iżby oznajmił królowi: że gdyby mu zdrowie pozwalało, przywdziałby suknię prostego kapłana i udałby się do niego aby rozmówić się z nim przed śmiercią i udzielić ostatnich Sakramentów. Król długo rozmawiał z wysłańcem Ojca Świętego i po spowiedzi czuł się spokojniejszym.

(d. n.)

Ze świata naukowego.

Księżyce Marsa.—Nowa planeta.—Wystawa dzieci. Wyprawa panny Rotschild. — Drogi w środkowej Afryce.

Im więcej doskonalą się narzędzia optyczne, im więcej ludzi poświęca się Astronomii, tem bardziej zaludnia się nieskończoność przestrzeni coraz nowemi światami, o istnieniu których niedomyślano się nawet; a przed zachwyconemi oczyma naszemi tem jaśniej uwydatnia się cudowna harmonia i majestatyczny porządek natury, oraz jedność praw rządzących wszechświatem.

Bardzo ważne odkrycie w dziedzinie Astronomii zakończyło rok ubiegły: depesza telegraficzna z Ameryki do Paryża przysłana obwieściła w kilku lakonicznych słowach o spostrzeżeniu dwóch księżyców Marsa. Ta wiadomość poruszyła wszystkich astronomów, którzy z razu nie dawali jej wiary, a wieść tę za kaczkę transatlantycką uważać chcieli, albowiem Mars od czasu wydania nieśmiertelnego dzieła Keplera: o ruchach gwiazdy Mars, w ciągu dwóch i pół wieku był przedmiotem nieustannych obserwacyi, tem łatwiejszych iż tak blizko ziemi jest położony, nie chcieli więc przypuścić ażeby jego księżyce przed wzrokiem astronomów aż dotąd ukryć się mogły; lekceważyli zatem odkrycie Halla, w Washingtonie dokonane. Niedługo jednak bracia Henry, astronomowie przy Obserwatoryum Paryzkiem, stwierdzili je i mogli badać te księżyce za pomocą potężnego ekwateryału 25 centymetrów średnicy, zasłoniwszy planetę ekramem, albowiem w jej blasku giną niejako małe satelity bardzo do planety zbliżone, co było przyczyną iż dotąd dostrzeżonemi nie zostały.

Pierwszy księżyc uskutecznia obrót w około swej planety w ciągu godzin piętnastu, a odległy jest od niej nie więcej jak o 3,000 mil, (odległość naszego księżyca od ziemi wynosi 51,800, a średnica 468 mil geograficznych). Drugi cokolwiek dalej się znajdujący, bo o 5,000, obiega w ciągu trzydziestu godzin. Obserwacye nad niemi bardzo są świeże i jeszcze obliczenia nie tak dokładne, w każdym razie są to ciała niezmiernie małe, których średnica zaledwo 10 mil wynosi.

To odkrycie uzupełniające szereg znanych księżyców czyli satelitów, naprowadza myśl godną uwagi. Planety dolne czyli wewnętrzne, to jest te które między Słońcem a Ziemią się znajdują: Wenus i Merkury, księżyców są pozbawione, przynajmniej nie odkryto ich dotąd; planety zaś zewnętrzne czyli górne mają je w następnej ilości: Ziemia 1, Mars 2, Jowisz 4, Saturn 8. Tu przerywa się już ta progresya geometryczna, gdyż zamiast 4 i 2 księżyców Uran i Neptun powinnyby mieć według niej, pierwszy 16 a drugi 32 księżyce. Ale te planety są tak bardzo odległe i tak mało jeszcze znane, że ze wszystkich hypotez jakie co do ich księżyców czynić można, prawo takiej progresyi geometrycznej bodaj czy najracyonalniejszemby nie było.

Kiedy mówimy o Astronomii, to wspomnić należy o odkryciu także w Washingtonie uczynionem: 174-tej planety pomiędzy Marsem a Jowiszem, które dla ich malutkich rozmiarów asteroidami nazywają. Kepler domyślał się ich istnienia w tem miejscu, ale wielki astronom przypuszczał ich dwie między Marsem a Jowiszem; w początkach naszego wieku znano ich cztery tylko, a obecnie liczba tych małych planet do 174 wzrosła. Dowód jak bardzo są wydoskonalone narzędzia optyczne.

Ameryka odznaczająca się tak oryginalnością pomysłów jak praktycznością niektórych, chcąc zachęcić ludność do hygienicznego wychowywania dzieci, już przed kilku latami była urządziła w Filadelfii wystawę dzieci, rozdając nagrody rodzicom tych które najwięcej warunków zdrowia i umiejętnego pielęgnowania przedstawiały. Obecnie podobna wystawa, (*Baby shon*), została otwartą w Bostonie; 240 matek zebrało się dla współubiegania się o nagrody, składające się z klejnotów złotych, zegarków brylantami ozdobionych, i t. p. Dzieci przez czas wystawy zostają pod dozorem swych matek które wszelkie wygody tamże otrzymują.

W tym roku, według *Boston post*, największem dzieckiem jest chłopczyk dwuletni z Roxburg, ważący blizko 70 funtów. Jako ostateczny z nim kontrast występuje dziewczynka zupełnie zdrowa, trzy miesiące mająca, której waga i 7 funtów niedochodzi. Spostrzegamy także dwa fenomena innego rodzaju, dwoje bliźniąt z których jedno białe, a drugie zaś zupełnie czarne, zrodzone z rodziców do tych dwóch ras należących, i ośmnastomiesięcznego chłopczyka mówiącego bardzo płynnie i śpiewającego hymny religijne.

Jakkolwiek rzecz poniżej umieszczona do naukowych nie należy wcale, chyba w części przynajmniej do przemysłowych; sądzimy jednak iż nie będzie obojętną czytelniczkom naszym. Idzie tu o wyprawę panny Rotszyld z Frankfurtu, która niedawno wyszła za mąż za jednego z Rotszyldów Londyńskich. Wyprawa ta była wystawiona w Paryżu na widok publiczny ku wielkiemu podziwieniu i zazdrości elegantek i dam modnego świata.

Suknie pochodziły z pracowni sławnego Wortha. A więc najprzód suknia ślubna, biała atłasowa, ubrana z przodu atłasem i wąziutkiemi koronkami i

angielskiemi, *tren* obszyty szerokiemi wolantami z kosztownych angielskich koronek i wzdłuż wolantów garnirowany kwiatem pomarańczowym. Stanik *façon cuirasse* cały pokryty koronką i nadto ubrany jeszcze takąż samą wązi utką koroneczką angielską jak i reszta sukni; wycięcie ozdobione kwiatem pomarańczowym równie jak talia i rękawy. Suknia do drogi, aksamitna koloru mirtu,z tuniką *princesse*, ubraną dokoła piórkami z kolibrów; krótki paltocik na wpół do figury zrobiony, oraz zielony aksamitny kapelusz takiemiż piórkami obszyty. Szlafroczki, kaftaniczki i peniuary stanowiły prawdziwe arcydzieło gustu i elegancyi. Najpiękniejszym z nich był szlafroczek z atłasu turkusowego koloru, garnirowany piórkami nurka czubatego (grébe) i koronkami Malines. Dwa inne szlafroczki zwracały także powszechną uwagę elegantek. Pierwszy z kaszmiru różowego ze wstawką na przodzie z różowej *faille*, obszytą po obu stronach pasami z *faille* i atłasu, od szyi aż do dołu. Drugi z kaszmiru niebieskiego, na przodzie od stanu do dołu pokryty szerokim haftem *en relief* w kwiaty i arabeski na tle atłasowem koloru złotego. Kwiaty haftowane kolorowemi jedwabiami wyglądały jak naturalne, arabeski zaś koloru *chamols*, prześlicznie odbijały od tła i nadawały temu ubiorowi cechę niezwykłego przepychu. Do każdego szlafroczka dołączone były odpowiednie pantofelki aksamitne, złotem i srebrem haftowane, ze złotemi klamerkami i rozetkami koronkowemi. Ostatnia nowość w negliżach, *kaftaniczki weneckie*, były przedstawione w kilku egzemplarzach. Kaftaniczki te lekkie i luźne, z pstrych materyi jedwabnych,pokryte całkowicie chińskim batystem i ubrane u dołu, na rękawach i w około szyi riuszami i wolancikami z koronek Valeuciennes i Malines. Z pomiędzy sukien do przyjmowania wizyt przedobiadowych szczególniej trzy się odznaczały: pierwsza z kaszmiru indyjskiego koloru *creme* ubrana blondynami i szarfami z aksamitu *cardinal*; druga z adamaszku błękitnego przetykanego nitkami srebrnemi, ubrana koronkami Valenciennes i srebrnym galonem; trzecia zaś z brokateli białej, obszyta koronką Malines, białemi frendzlami i atłasem, bardzo gustowna i skromna. Suknie do wyjścia bardzo rozmaite: z *faille* czarnej, z *faille* koloru mchu, takimże aksamitem obszyte, czarne wełniane garnirowane piórami, kortowe barwy śliwkowej z takimże aksamitem i t. d. a do tego stosowne paltoty, kapelusze i tem podobnie. O sukniach balowych nie mamy dość miejsca aby szczegółowo się rozpisywać, dość powiedzieć że elegancyą i przepychem dorównywały kolosalnemu bogactwu Rotszyldów.

Wystawa bielizny była tryumfem dla dwóch pracowni której jej dostarczyły. Każdy rodzaj był przedstawiony w ogromnej ilości tuzinów. Można tu było napatrzeć się na istotne arcydzieła w koronkach, haftach i robotach ręcznych, chustki zwłaszcza były cudnie piękne. Oprócz tego wystawiono jakby cały magazyn koronek, mantylek, woalików, chusteczek na szyję, krawacików z gazy i koronek, szalów jedwabnych i koronkowych, przytem cały osobny kufer parasolików najrozmaitszych kształtów i kolorów do sukien zastosowanych. Dalej pudełka z rękawiczkami, a ile tam było tuzinów, niewiadomo, dość że ródnorodność kolorów kształtu i krojów słusznie wzbudzić mogła podziw i zazdrość eleganckiego świata. Toż samo i co do kapeluszy w których dobry gust i wdzięk fantazyi do najwyższego doprowadzone były stopnia.

Ażeby jednak dzisiejszą pogadankę naukową zakończyć rzeczą poważniejszej treści; donosimy że Anglicy bardzo czynnie się krzątają około przyszłej kolonizacyi środkowej Afryki, tak świeżo i to w części tylko poznanej, a rokującej najświetniejsze widoki dla nadmiaru ludności zachodniej Europy. W tym celu pracują oni nad otwarciem dróg z Zangebaru, krainy pod ich wpływem zostającej, do wnętrza Afrykańskiego lądu. Pierwsza z nich poczynająca się o 15 mil na północ od Ragamoyo, już jest ukończoną na przestrzeni 300 kilometrów. P. Price, misyonarz szkocki, kieruje robotami aż do Ujiji, a z tego miejsca inżenier rządowy ma ją przeciągnąć do jeziora Victoria-Nyanza. Mają na niej położyć relsy na sposób amerykański, a wagony już zostały zamówione w fabrykach angielskich.

Druga droga została rozpoczętą w Dawy-Salama, o 12 mil na południe od Zanzibaru; kosztem Oxfordzkiego Misyonarskiego Towarzystwa. Sam biskup anglikański kieruje tem przedsięwzięciem.

Wiadomości bieżące.

Odezwa od redakcyi książki jnbileuszowej dla J. I. Kraszewskiego. Dla uczczenia J. I. Kraszewskiego w pięćdziesiątą rocznicę pracy jego na polu piśmiennictwa, powzięto myśl, żeby niezależnie od wyboru pism jubilata, wydać książkę zbiorową, któraby stanowiła, o ile to być może, najwierniejszy wizerunek tej pracy we wszystkich różnorodnych tak licznych jej gałęziach, i razem z zasługami pisarza dała w nim poznać społeczeństwu człowieka w szczegółowych rysach jego żywota. W skutek tego główni przedstawiciele prasy i literaci, na zgromadzeniu dnia 3 stycznia zwołanem, wybrawszy z grona swego redakcyą, powierzyli jej wykonanie rzeczonej myśli. Redakcya ta, zająwszy się ułożeniem programatu książki jubileuszowej, postanowiła, że ma się ona składać: 1) ze studyów nad pojedynczemi odnogami działalności publicznej Kraszewskiego: jako powieściopisarza, poety, dramaturga, historyka, archeologa, etnografa, filozofa, estetyka, krytyka, publicysty, redaktora, wydawcy i drukarza; 2) bibliografii jak najdokładniejszej wszystkich pism jego, 3) z życiorysu obrazowanego na szerszą skalę; 4) artykułów epizodycznych, odnoszących się do rozmaitych epok jego żywota. Niektóre z wymienionych powyżej działów, wzięli już do opracowania sami redaktorowie, resztę zaś powierzyli odpowiednim pisarzom, odznaczającym się we właściwych przedmiotach znawstwem i powagą zdania uznaną. Dla chcących wszakże uczestniczyć w tej pracy, pozostaje jeszcze dość pola, pożądane bowiem są oprócz tego wszelkie materyały biograficzne, czy to w kształcie wspomnień, pamiętników, albo anegdot z życia jubilata, czy to w listach jego prywatnych, niemniej jak i rozbiory szczegółowych czynników, wchodzących w skład utworów powieściowych tego pisarza, wyjaśnienie pewnych tendencyi, typów zbiorowych postaci wybitniejszych i t. p. Redakcya takie materyały i prace, o ile odpowiadać będą celowi, przyjmie z wdzięcznością i prosi uprzejmie o ich nadsyłanie pod adresem Antoniego Pietkiewicza, Nowy Świat N. 39, naznaczając termin ostatni na dzień 1-szy grudnia r. b. Ktoby zaś pragnął poznać bliżej program książki, na żądanie będzie go miał danym sobie od redakcyi.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Ewelinie K. w Zakopie. Przyjaciel Dzieci stara się być użytecznym dla czytelników różnego wieku. Dodatek służy dla małych dzieci rozpoczynających dopiero naukę czytania, a nawet cztero i pięcioletnie dzieci lubią słuchać czytania powiastek w nim się mieszczących, jak o tem piszą nam nieraz rodzice i starsze rodzeństwo. O ile zaś pismo to jest pożytecznem i o ile odpowiada swemu przeznaczeniu, to prosimy spytać się o to pierwszego lepszego prenumeratora a na jego opinii zupełnie poprzestaniemy. Dodamy tylko ze swojej strony, że liczba listów od czytelników Przyjaciela tak się ciągle powiększa i wreszcie zwiększyła, że musieliśmy dać aż nadzwyczajny dodatek półarkuszowy z samemi odpowiedziami, gdyż już w samym numerze miejsca na to brakło. Ta chęć do korespondencyi z Przyjacielem i zaufanie w nim położone, sądzimy że najlepiej świadczy, iż pismo to nietylko uczy ale bawi, przywiązuje do siebie i obudza chęć do nauki i dobrego. Dla czego zaś posiadając tak ważne przymioty, jak w liście wyrażono, nie znajduje się w każdym domu gdzie są dzieci, to tego powodem nie jest mała pieczołowitość o młode pokolenie, ale jedynie tylko nieznajomość pisma Przyjaciela Dzieci, które raz wcisnąwszy się do jakiej rodziny, już z niej nie wychodzi więcej.

Opis ryciny kolorowej.

Ubranie strojne wizytowe. Ciemno granatowa faille i aksamit stanowią materyał na to ubranie złożone ze spódnicy z wielkim trenem i ze stanika składającego się z wązkich części. Przedni bryt sukni ułożony w fałdy jest z materyi faille, szerokie plisy i tylne bryty z aksamitu. Część fałdowana poprzecznie, przyszyta w górze przy przednim brycie, zachodzi do tyłu i przypięta jest długą szarfą z materyi faille złożonej podwójnie. W staniki mieszają się części aksamitne i jedwabne; długie i wązkie rękawy są z aksamitu. Szeroki kełnierz i mankiety z siatki gipiurowej (filet antique). Grzebień z kości słoniowej i kwiat granatu we włosach.

Ubranie strojne wizytowe. Na sukni princesse z lila materyi włożone vêtement bez rekawòw, z przodu fałdowane poprzecznie z tyłu lekko podpięte, odszyte z gazy jedwabnej koloru ivoire. Przybranie sukni u dołu składa sie z dwóch plisowanych falbanek, sutej siepanej riuszy z faille i płaskiej bufy gazowej. Przy vêtement dana bufa, riusza i sznelowa frendzla ivoire. Kwiaty blado-różowe zdobią suknie; na głowie wianeczek z pod którego wysuwa się lila pióro i wązka wstążka serge.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

Treść Numeru: Pius IX (z drzeworytem). — Kwestye i Sprawy (dalszy ciąg). — Czerwony doktór, przez Aldę de Gravas (dokończenie). — Korespondencya z Rzymu (dalszy ciąg). — Ze świata naukowego. — Wiadomości bieżące. **W dodatku:** Ella Wilton, przez C. de Marigny przekład J. B. — Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże, przez Emmelinę Raymond, przekład K. P. (dalszy ciąg).

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 16 (28) Февраля 1878 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.